

Maja Wesołowska

CIENÍ

zamknięty w pokoju jak w celi, nasłuchuję najmniejszej oznaki życia – bez skutku. przez kratę światła próbuję dostrzec jakąś ścieżkę wyjścia. w czterech ścianach mieszkają trzy osoby - ja, mój duch i moje ciało.

biel tynku dawno stała się szarzejącą płachtą, pełną nieregularnych dziur, przez które nieśmiało wyglądają brunatne źrenice cegieł. w objęciach kwadratów cienia rozpościera się niekończący się wieczór zmierzchu, w którym wciąż i wciąż pada deszcz płatków starej farby; cienka warstwa pyłu pokrywa drewniana podłogę znacząc ślady stóp za każdym razem, gdy chodzę po moim królestwie. jego cały skarbiec to metalowe łóżko z depresją rdzy na pionowych szczeblach i równo zasłanym kocem o zapadniętych szaro fałdach. obok majestetycznie wyrasta ze smugi światła biurko – ostoja wolności.

dzień zabija we mnie wszelki szacunek dla światła, gdy zaś przychodzi noc, budzę się i wkraczam w spiralę cudu, jakim jest ten stan, gdy zasiadam na krześle i biorę do ręki pióro. przede mną leży czysta kartka, inspiracja tworzenia; potrafię przesiedzieć tak kilka godzin, kilkanaście godzin, wiele dni, tygodni tej sączącej się czerwieni bezsennych wieczorów, które wlewają się nieustannie przez gałęzie okiennic, przetarte jeszcze chwilę wcześniej drzazgami deszczu, przybierając wszystkie barwy purpury, rubinu i ciemnej krwi.

biorę do ręki pióro i zanurzam stalówkę w granacie atramentu. zamykam oczy czując, jak pod powiekami tworzy się coraz bardziej przejrzysty obraz historii, której za chwilę stanę się bohaterem, twórcą, flozofem - jestem w niej, kim chcę - kochankiem, szpiegiem, zdrajcą, mordercą własnych snów.

zblizam ostrze stalówki do nadgarstka i ściskam mocno palce. mięśnie naprężają się, a linie na dłoniach pogłębiają się niczym suche wąwozy po umarłych dawno rzekach. te puste doliny potrzebują pożywienia, pokarmu dla duszy, by przetrwać dzień - jeszcze jeden dzień świadomości, że nie umarłem na tej pustyni bez choć jednego napisanego słowa, bez jakiegokolwiek żywej treści. gładki grot stali wbija się miękko w żyłę. niebieska linia powoli ciemnieje aż do grafitowej czerni. gorzki narkotyk włacza w moje ciało wizje w trzech wymiarach. widzę wyraźnie, słyszę i czuję, smakuję, oddycham, chłonę. pod powiekami tworzą

się majaczące obrazy, rozmyte postaci tańczą taniec opętanych, setki głów wciskają się do uszu, przyciągane i odpychane wibracjami mojego ciała, gorycz atramentu zamienia się w lepka, ciągnącą się słodycz, której strużki rozplywają się po każdej najmniejszej żyłce. nie widzę ciemności ani jasności, nie jest mi zimno ani ciepło, to stan, gdzie wszystko jest znane i tak naturalne, gdzie czuję się jak embrion w łonie matki. jestem i żyję, rosnę, powstaję, zbieram się w siłę jak mocarz, mogę słowami ciskać jak artysta lub święty. zastygam na chwilę rozkoszując się prawdziwym światem, potem wtłaczam jeszcze jedną kroplę, jeszcze dwie atramentu, aż poczuję, że ciało i umysł zaciemniają się naraz czarnym płótnem słów, dusza zwęgli się na popiół liter, a deszcz purpury zmyje grzech nie pisania, na zawsze.